

## BYŁEM TAM c.d.

Poprzez Świerdłowsk, Magnitogorsk docieramy do miasta Czkałow (obecnie Orenburg). Tu następuje dla nas jako dzieci tragedia. Mama chora, od kilku dni ma bardzo wysoką temperaturę, traci przytomność i w takim stanie zabierają ją do szpitala. Zostaliśmy sami (siostra 8 lat, ja 10) bez matki, nikt nie zwraca na nas uwagi. Nasz los nikogo nie interesuje, nikt nas nie przygarnął, nie zabrał ze sobą w dalszą drogę. Na ten czyn jedynie zdobyła się Hanka Ordonówna - ratując polskie dzieci wywożąc je do Iraku. Nasi dobrzy znajomi i sąsiedzi z osady oddali nas w ręce milicji, która osadziła mnie i siostrę w izbie zatrzymań dla nieletnich. Gdyby matka zmarła - nigdy nie zobaczylibyśmy ojczystego kraju, do dnia dzisiejszego byłibyśmy obywatelami obcego państwa. Warunki i życie w ww. izbie ciężkie. Duża liczba dzieci sierot, część z nich już zdegenerowana. Wyżywienie bardzo złe. Nadal dręczy nas głód, gryzą wszy, jest znów świerzb, zachorowania na tyfus. Do tych plag dołącza powódź - wylewa rzeka Ural i część miasta znalazła się pod wodą. Zagrożona została również i nasza siedziba. Po 2 tygodniach pobytu w ww. izbie na tyfus zapada moja siostra i ją również zabierają do szpitala. Zostaję sam - nie ma matki, brata, siostry. Pewnego dnia jeden z pensjonariuszy postanawia uciec. Za „wynagrodzenie” kilku porcji chleba podejmuje się odnaleźć moją mamę. Ucieka przechodząc przez 3,5 m mur. Wraca po kilku dniach w asyście milicjanta. Na moje pytanie - czy znalazł mamę odpowiedział: „tak, ale twoja mama nie żyje”. Przeplakałem całą noc i musiałem pogodzić się z losem. Kilka dni później wywieziono mnie do stałego sierocińca (Dziet - Dom) położonego we wsi Rokaszkino za Buzułukiem. Sierociniec mieścił się w meczecie.

Już pierwszego dnia zostałem pobity na przywitanie za to, że jestem Polakiem. Zabrano też moje ubranie otrzymane z polskiej placówki. Wyżywienie było tu bardzo słabe, natomiast kolchozowe magazyny były pełne pszenicy. Ratowaliśmy się przed nadmiernym głodem robiąc w ścianie spichlerza dziurę, przez którą wysypywało się zboże. Prażyliśmy je w polu na ogniu. Z nastaniem prac polowych sąsiedni kolchoz potrzebował pracowników. Znalazł ich wśród wychowanków sierocińca. Zgłosiłem się i ja. Prace polegały na tępieniu chwastów w zasiewach i ogrodnictwie. Było znośnie, wyżywienie lepsze, dostawaliśmy nawet mleko.

Jest lipiec 1942 roku. Pracując w polu zauważyliśmy idącą w naszym kierunku postać. Początkowo nikt nie zwracał uwagi, ale gdy zbliżyła się i zawołała: „Loniu” - wszyscy podnieśli głowy. Gdy zawołała jeszcze raz: „Loniu” - ja z wielkim krzykiem i płaczem rzuciłem się w Jej kierunku. Biegając krzyczałem wniebogłosy: „Mama!, Mama!, Mama!”. Pozostali wychowankowie i wychowawczynie rzucili się za mną, otoczyli nas. Radości i płaczu nie było końca. Tym samym praca w kolchozie i mój pobyt w sierocińcu dobiegł końca. Ale wróć jeszcze na moment do czasu kiedy zostałem sam. Wspominałem o zabraniu mojej siostry do szpitala. Otóż miała ona na tyle szczęście, że trafiła do szpitala, gdzie przebywała mama i o którą zaraz zapytała. Mama po 18 dniach odzyskała przytomność i zaczęła już trochę chodzić. Na pytanie „czy ma docz?”, odpowiedziała „tak”. Przyprowadzono do niej małą dziewczynkę z ogoloną głową. Jak ją zobaczyła - powiedziała, że to nie jest jej córka (siostra miała długie, kędzierzawe włosy). Na krzyk siostry mama zgodziła się, ażeby położono je razem w jednym łóżku.

Mama po wyjściu ze szpitala dowiedziała się, że transporty Polaków do Iranu są wstrzymane. Otrzymała skierowanie do pracy w kolchozie im. Woroszyłowa we wsi Ugolnoje, Sol - Ileckij rejon, Czkałowska obłaść. Tu spotyka polską rodzinę składającą się z 4 osób o nazwisku Moskwa (obecnie mieszkają w Rzeszowie). Los wiąże nas na długie lata. Razem dzielimy dolę i niedolę, aż do powrotu do Polski.

Będąc już w kolchozie matka szuka starszego brata, którego zabrano do szpitala w mieście Mołotow. Nikt nie umie udzielić informacji, gdzie on jest. Szuka również i mnie. Znajduje w ww. sierocińcu, który znalazł się w strefie przyfrontowej i wyjazd bez specjalnej przepustki stał się niemożliwy. Pokonuje tę trudność, a później marsz 50 km (z Buzułuku do wsi Romaszkin) wśród ulewnego deszczu. Obie (matka i siostra) przemoknięte znajdują schronienie u kolchoźnicy, która nakarmiła je, ogrzała, wysuszyła odzież, a nawet przenocowała. Następnego dnia znalazła mnie w kolchozie przy pracy. Kolchoz rozliczył się z mną - dając wynagrodzenie w pieniądzach i naturze. Z Siel - Sowietu odebrałem zaświadczenie o pobycie w sierocińcu i w drogę. Wracamy całą trójką do kolchozu, gdzie pracuje mama. Mieszkanie, które otrzymaliśmy zostało zrobione z gliny, podłoga również. Nie ma na czym spać, o żywność i opał na zimę trzeba samemu się zatroszczyć. Kolchoz jest biedny, pracują przezważnie kobiety (mężczyźni na froncie), inwalidzi, dzieci. Za pracę otrzymują trochę pośladu lub otręby.

Zaczynam pracować i ja. Na początek pasę w stepie 300 cieląt, a w zimie je oporządzam. W wolnych chwilach w stepie zbieram kiziak (suche odchody krów) lub wycinam grube krzaki piołunu na opał w zimie. Różnymi sposobami zbiera się na zimę kartofle, buraki. Pomimo, że jesteśmy na „wolności” nie otrzymujemy znikąd żadnej pomocy. Mama zaczyna wróżyć z kart,

ja chodzę od domu do domu i żebrzę o kawałek chleba lub coś nadającego się do zjedzenia. Pracując przy zbożu mama i p. Moskwa wzięły do kieszeni trochę ziarna, które znalezione w czasie rewizji. Zrobiono proces pokazowy, ale wyrok zawieszono ze względu na nas (byliśmy małoletni). Złe wyżywienie, brak witamin powodują, że mama po zapadnięciu zmroku przestaje widzieć. Ma tzw. kurzą ślepotę. Nie ma z czego żyć i dalsze przebywanie w kolchozie jest niemożliwe. Otrzymujemy zezwolenie na opuszczenie kolchozu i przenosimy się na tzw. „25 - razjezd”, gdzie mieszczą się magazyny wojskowe. Początkowo mieszkamy na terenie byłego łagru w ziemiankach. Teren otoczony drutem kolczastym, w rogach wieżyczki strażnicze. Później nas przenoszą do baraków. W pokoju mieszczą się 4 rodziny rosyjskie i my. Mama pracuje jako strażnik, chodzi w nocy z karabinem i pilnuje magazynów. Tutaj ja również zaczynam pracować jako pomocnik cieśli. W wolnych chwilach łapię w stepie suśliki (chomiki). Jest to jedyne nasze mięso. Za pracę otrzymuję 400 gramów chleba i kilkanaście rubli.

Sytuacja polepsza się, kiedy mama zostaje kierowniczką kuchni. Zawsze dostało się dodatkową porcję zupy. Ja już w tym czasie pracuję jako pomoc szewca. Moim nauczycielem jest krymski Tatar Rafat, inwalida wojenny, odznaczony medalem „Za odwagę”, ale tak samo jak nas gryzły go wszy i nękał głód. Obrońcę ojczyzny dodatkowo wynagrodził reżim stalinowski. Z Krymu do Azji deportował jego starych rodziców.

Jest rok 1943. Pewnego dnia zawiadomiono nas, że na pocście we wsi Ugolnoje jest zagraniczny list. Idę po niego, droga zawiana, brnę w śniegu. Okazuje się, że to list z Palestyny. To pisał brat, który zaginął w Rosji po zabraniu do szpitala, a po wyjściu z niego zdążył jeszcze wyjechać do

Iranu z Armią Gen. Andersa. Duża była radość - na razie cała nasza czwórka żyje.

W marcu 1943 roku powstaje Związek Patriotów Polskich, który organizuje pomoc dla Polaków pozostających w Rosji, a między innymi tzw. internaty. Ratowały nas one od kompletnego głodu, dawały odzież i schronienie przed chłodem.

Opuszczamy „25 - razjezd” i przenosimy się do miasteczka Sol-Ileck. Mieszkamy na ulicy Urickiego 11. Dom opuszczony, duży, pusty. Nie ma go czym ogrzać. Zbieramy rozsypany węgiel wzdłuż torów kolejowych lub resztki z parowozów, kawałki drewna z płotów. Pomimo tego woda zamraża w wiadrze. Z wyżywieniem jest bardzo źle, żebrać nie ma gdzie. Były takie dni, że żywności szukałem w śmietniku. Rozgrzebywałem śmiecie z nadzieją znalezienia zgniłego (zmrózonego) kartofla, kaczana i liści kapusty lub czegoś innego nadającego się do zjedzenia.

Na usilne staranie i bombardowanie ambasady Polskiej w Moskwie – przyjmują mnie i siostrę do internatu. Poza ww. walorami internatu jest jeszcze w nim polska szkoła. Ja chodzę do klasy V, a siostra do IV. Nauczycielem i dyrektorem był polski Żyd - p. Klinger, a później pan Gibes. Nauczycielem i wychowawcą była pani Irena Filipowicz (dyplomowana nauczycielka). Wychowawczyni w internacie pp. Aleksandra Filipowicz i Kozłowska. Nad czystością i kuchnią czuwała p. Stanisława Moskwa. Ażeby mieć produkty na zimę wychowankowie pracowali w ogrodach okolicznych kołchozów. Otrzymywaliśmy za to – ziemniaki, kapustę, buraki. Nie mieliśmy ich gdzie zmagazynować - wszystko zmarzło przy pierwszych mrozach.

Z tych mrożonych warzyw robiono posiłki. Za naczynia służyły nam puszki po konserwach.

W zimie 1944 roku nagle zapadam na zapalenie płuc i malarię jednocześnie. Je-

dynym lekiem była atebryna i bańki oraz serdeczna opieka pani wychowawczynie.

W internacie razem ze mną i siostrą przebywali: Irena Cholewicka ucz. kl. IV, Henryka Cholewicka, Zofia Cholewicka ucz. kl. III, Marek Dyskant ucz. kl. V, Janina Gałązka, Hanka Goldman ucz. kl. II, Geta Hoffman ucz. kl. IV, Leon Malek ucz. kl. IV, Zygfryd Malek, Zofia Malek, Zbigniew Moskwa, Marian Moskwa, Krystyna Moskwa, Kazimiera Komasa, Monika Rakowska, Zofia Rogińska, Etlia Krankerwarter ucz. kl. III, Szłoma Krankerwarter, Sara Szerman ucz. kl. V, Mina Wajsztejn, Janina Zoborszczyk, Halina Lejbik ucz. kl. II, Lila Szymańska ucz. kl. IV (moja siostra), Janusz Dobosz, Leon Dobosz, Barbara Kozłowska.

Wszystkie te osoby w marcu 1946 roku wyjechały do Polski. Mama w tym czasie pracuje w tzw. Rajpiszczepromie (gotuje melasę), później przechodzi do pracy w masarni. Od czasu do czasu udaje jej się wynieść kawałeczek kielbasy. Ale mimo tego nadal chodzimy głodni, ciągle tęsknimy za chlebem i krajem. Przejawia się to również w pisaniu pamiętników. Każdy wychowanek internatu robi z czego może pamiętnik. Do niego wpisują się wszyscy - nauczyciele, wychowawcy, wychowankowie. Część wpisów kończy się słowami: „życzę szybkiego powrotu do Polski”.

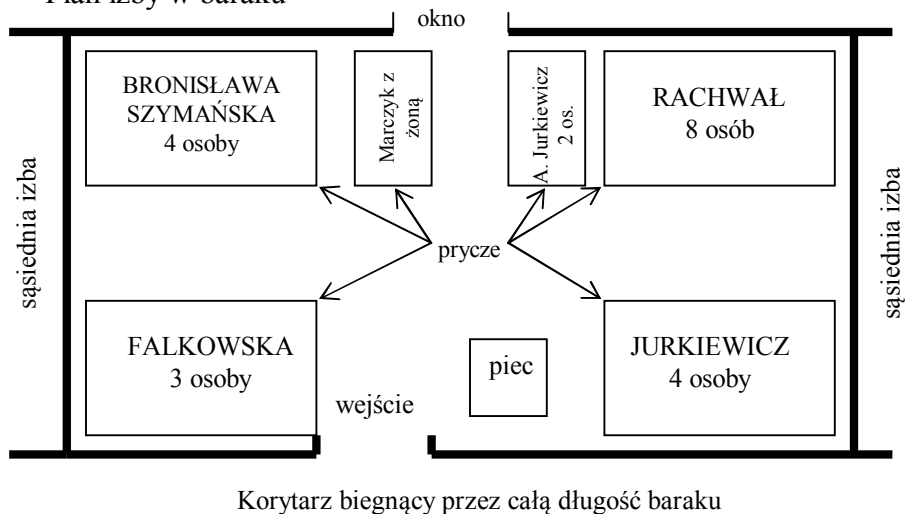
Jest już rok 1945, wojna zbliża się ku końcowi. Zaczynają krążyć pogłoski o powrocie do kraju. Wreszcie przychodzi wiadomość, że będzie ewakuacja i jakie dokumenty trzeba mieć do wyjazdu. W bardzo trudnej sytuacji znaleźli się ci wszyscy, którzy podali w swoich papierach, że są Białorusinami lub Ukraińcami. Odciepli sobie drogę do Polski, musieli zostać na miejscu. To samo spotkało te Polki, które powychodziły za mąż za Rosjan.

Z wielkim trudem i niechęcią władze wydają nam dokumenty ewakuacyjne. Przygotowanie do wyjazdu nie zabiera nam du-

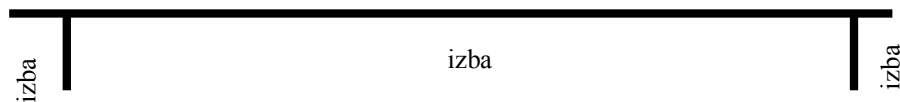
zo czasu. Po prostu - nie mamy nic. Nasz bagaż to worek kamiennej soli, który w czasie drogi wymienialiśmy na żywność oraz to co mieliśmy na sobie - watowana kurtka tzw. fufajka, drelichowe spodnie, szmaciane drewniaki. Ja polską granicę przekroczyłem mając nogi owinięte w szmaty. Wagony, którymi wracamy są takie same jakie były w czasie wywózki na Sybir i jakimi wyjeżdżaliśmy z posiłku. Wjeżdżamy na tereny wyzwolone. Wszędzie

zniszczenia. Taki obraz towarzyszy nam aż do polskiej granicy, którą przekraczamy w Medyce. Jadąc do Przemyśla w nocy widzimy jak płoną wsie. Po drodze z wagonów ubywa ludzi. To rodziny zabierają swoich. Nas kierują na zachód. W Mikulczycach k. Gliwic wysiadamy i kierujemy się w stronę Łodzi. Tutaj czeka na nas ojciec. Dnia 19.03.1946 tułaczka nasza dobiega końca.

### Plan izby w baraku



Korytarz biegnący przez całą długość baraku



### Uzupełnienie:

Na posiłku Kubala było około 80 rodzin.

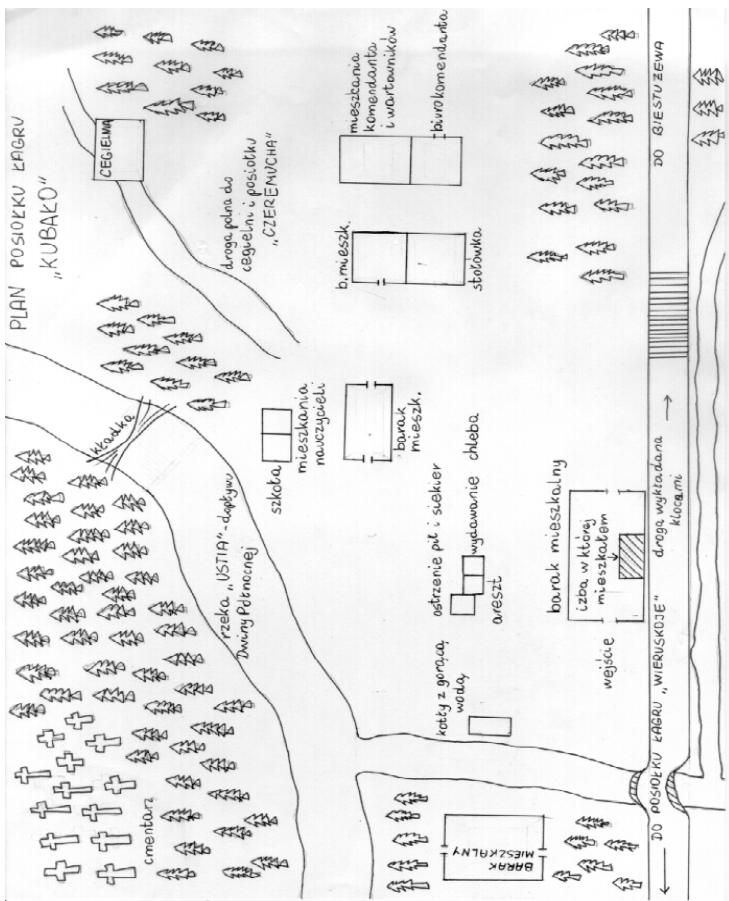
Podaję nazwiska rodzin (osób), które pamiętam: Wanda Horbaczewska + troje dzieci (Jan, Halina, Zofia), Wojna z rodziną, Gorski (2 siostry), Przeklasa z rodziną (ok. 7 osób), Fabian Smolicz z rodziną (żona - Helena, córka - Danuta, synowie - Jerzy i Walenty), Zygmunt Jarmoliński z rodziną, Płaksa z rodziną (ok. 7 osób), Wanda Gajewska z rodziną (3 os.).

W naszym pokoju (izba baraczna) mieszkali: Bronisława Szymańska - moja matka, Kazimierz Szymański - brat, Lila Szymańska - siostra, Leon Szymański - ja, Falkowska z cór-

ką i synem Wojciechem, Marczyk z żoną, Antoni Jurkiewicz z żoną Anetą, Rachwał z rodziną (ok. 8 osób, zmarli żona i syn Stanisław), Jurkiewicz z rodziną.

Załączam:

1. Plan izby (gdzie mieszkałem) z zaznaczeniem miejsc (pryce) i nazwiska osób - powyżej.
2. Plan posesiadku Kubako Ustiański rejon, Archangielskaja obłaść – na następnej stronie.



P.S.

*Tych wspomnień nie zamierzałem napisać. Chciałem ten koszmary okres w swoim życiu zamknąć i więcej do niego nie wracać. Ale w miarę jak zaczęło przybywać lat moje myśli uporczywie zaczęły wracać do tamtych dni. Nie dawały spokoju, przeladowały mnie na dyżurach lekarskich i w bezsenne noce. Coś wewnątrz mnie krzychało - daj poznać prawdę jaki los spotkał setki tysięcy Polaków rozproszonych na dzikich obszarach tajgi syberyjskiej, umierających z głodu, zimna, nadzwyczaj ciężkiej pracy.*

*Musiałem to zrobić. To był mój obowiązek wobec Tych co już stamtąd nigdy nie wrócą.*